



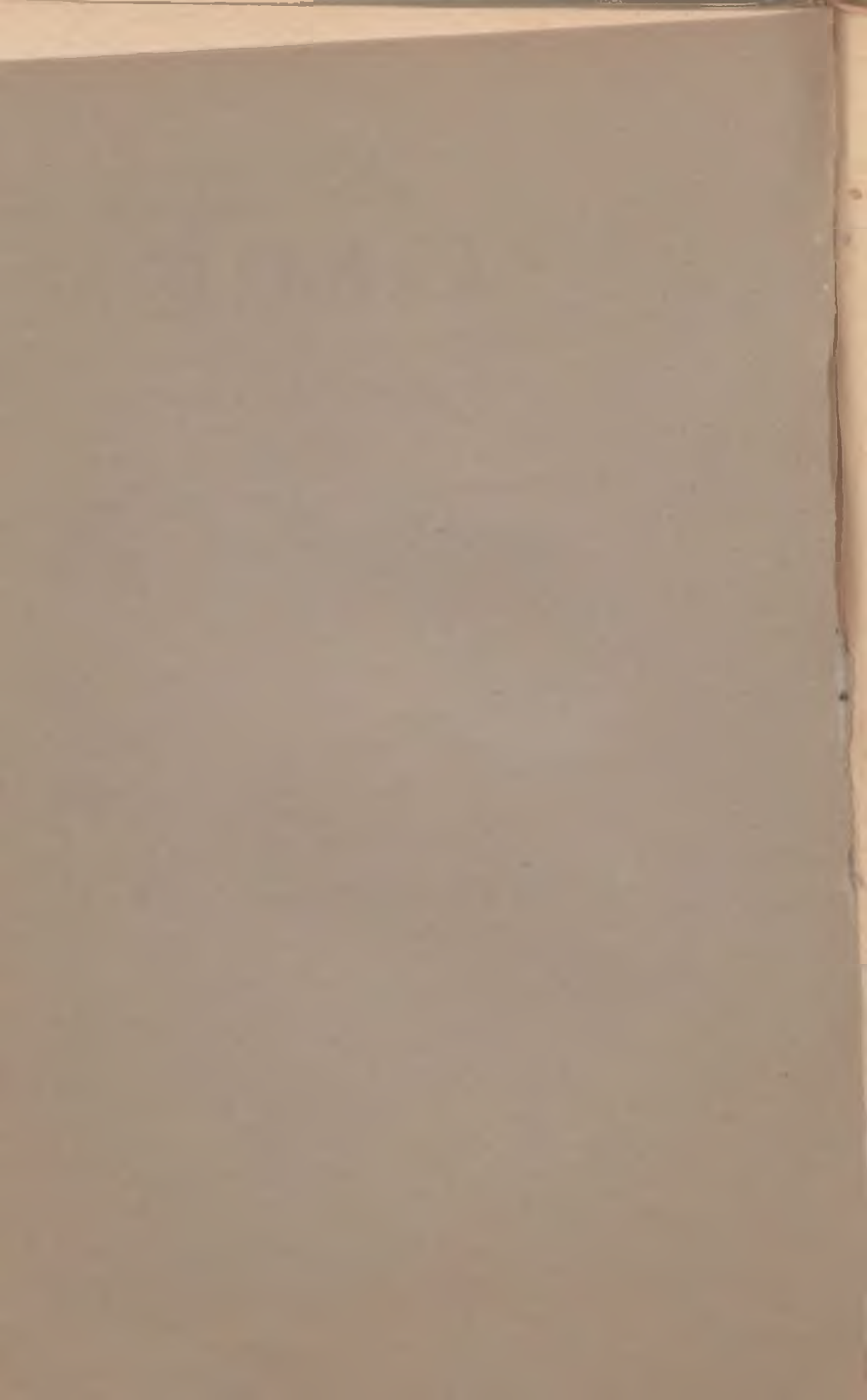
# PROMIEN



PISMO MŁODZIEŻY  
I. Państw. Liceum i Gimnazjum  
im. I-go Marszałka Polski  
JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO

Rok XIV      Wrzesień 1938 r.      Nr 1

Odbito w Drukarni „Orędownika Ostrowskiego“



*I tyle tęcz zapalisz na swym niebie,  
Ileś za młodu życia wchłonął w siebie.*

# „PROMIEN”

Miesięcznik Młodzieży I. Państw. Liceum i Gimnazjum  
im. I. Marsz. Polski J. Piłsudskiego w Ostrowie-Wlkp.

---

Kierownik Wydawnictwa — Red. odpowiedzialny — Redaktor Naczelny  
K. Woschke Prof. dr J. Jachimek Rajska T.

---

ROK XIV

WRZESIEŃ 1938 R.

NR 1

---

## DYREKCJA ZAKŁADU

zawiadamia, że p. Minister Wyznań Religijnych i Oświe-  
cenia Publicznego pismem z dnia 23 marca 1938 r. nr  
II. S. - I 366/38 nadał naszej szkole z ważnością od 1-go  
lipca 1938 r. następującą nazwę:

„I. Państwowe Liceum i Gimnazjum im. I. Marszałka  
Polski Józefa Piłsudskiego w Ostrowie“.

---

## O wakacjopisach (niby przedmowa)

W swojej redaktorskiej przezorności, Redakcja „Promie-  
nia“, przed rozpoczęciem wakacyj, zachęciła chętnych i niechętnych do spisywania swoich wrażeń, wspomnień „ferialnych“ dla dalszej ich eksploatacji w piśmie. Przypuszczam, że wielu posłuchało i uwieczniło na papierze swoje „miło - chwilne“ przeżycia. Jedni pisali o morzu, drudzy o polowaniu, inni o obozach, jeszcze inni o beztrójce itd. itd.

Ja także — chcąc wyzyskać czas wakacyj, — chwyciłem silnie za ołówek i pisałem... pisałem, wreszcie napisałem „wakacjopisy“. Nie są to jednak opisy wakacyj, bo przecież rękopisy, maszynopisy nie są opisami ręki czy maszyny, są to tylko pisma, dokonane ręką, maszyną. Tak samo wakacjopisy są napisane „wakacjami“, a dokładniej: podczas tych wakacyj, z wyzyskaniem dostarczonego przez nie czasu. Spróbuję wyjaśnić istotę wakacjopisów.

W czasie feryj jest uczeń wyjątkowo (!) wolny od stałego nastawienia uwagi na lekcje i dlatego może mieć oczy otwarte na inne zjawiska, może pozwolić głowie swobodnie się „wypomysłować“. Ja też wykorzystałem sytuację i nad wszystkim, co tylko rzuciło mi się w oczy, czy w głowę, chociaż krótko pomyślałem. Najlepiej zaś jest myśleć na papierze, bo „papierowe“ myśli są widzialne i dostępne dla szerszego szeregu osób i są trwalsze od myśli w umyśle (scripta manent...). Nie brałem tu pod uwagę jakiegoś specjalnego działu, czy rodzaju tematów, tylko poprostu to, co nasunęło się na myśl i zostało „upapierzone“. Papierowe myśli zebrałem w cykl artykułów, które (o ile Redakcja...) — będą się ukazywały pod mianem „Wakacjopisów“.

Tad. Z. O. Nabzdyk.

---

## Wspomnienia z obozu pracy

Wyjechaliśmy właściwie w nieznane. Informacje naszych nielicznych kolegów z pierwszego turnusu były dość mętne i przepełnione chęcią nastraszenia nas. Kursowały przecież przeraźliwe pogłoski o głodzie, ciężkiej bardzo pracy, o tajemniczych „normach“. Jechało nas jednak sporo, to też, — jak zwykle w gromadzie — humory się rychło poprawiły i raczej z ciekawością, niż z bojaźnią, patrzyliśmy w przyszłość.

Sama podróż koleją nie dała zbyt dużo nowych wrażeń, godnych pióra. Zaczęły się one dopiero z chwilą, gdyśmy wysiedli na niedużej stacji magistrali węglowej Dąbie n/Nerem.

To była stacja, na której przeszliśmy już właściwie pod komendę J. H. P., bo na peronie oczekiwał nas już ktoś w mundurze junackim z dwoma „belkami“ na kołnierzu. Nie orientowaliśmy się jeszcze, co to za szarża, ale doszliśmy zgodnie do wniosku, że to napewno jakiś „ważny“.

Tak też i było w istocie. Lecz już na stacji dowiadujemy się, że do obozu to jest tylko „...naście“ kilometrów. Ile było dokładnie, nie wiem. Różne tam podawano odległości.

Część przybyłych, między innymi i ja, decyduje się jechać wozem za pewną oczywiście opłatą. Wóz bez resorów, kiepska droga, nie zachęcały do jazdy, ale wiadomo, że „lepiej źle jechać niż dobrze iść“, zwłaszcza, że wszyscy zgodzili się, że do obozu to jednak jest dosyć daleko. Po długich targach z woźnicą o wysokość opłaty za przejazd, ruszyliśmy. Z początku truchtem, potem coraz wolniej, aż wreszcie przez miasteczko Dąbie wleliśmy się noga za nogą. Nie będę tutaj opisywał tej „trochę“ brudnej metropolii, jaką jest Dąbie. Pełno tu Żydów, więc też i miasto odpowiednio po temu wygląda.

No, ale chociaż powoli, to jednak posuwamy się naprzód. Wpierw szosą, następnie zbaczamy na polną drogę. trzęsąc się niemiłosiernie, posuwamy się bezkresnymi nizinami. Same łąki, rzadko widać, ubogie przeważnie wsie.

By przeznaczenie nasze się spełniło zmokliśmy jeszcze jak to się mówi, do suchej nitki.

Rychło jednak ubrania wyschły na nas i powoli, z godnością, na skrzypiącym wehikule, wjechaliśmy do wsi Góry. Docho-  
dziła godzina jedenasta. (O ósmej z minutami zajechaliśmy ko-  
leją do Dąbia!) Sygnalizują już nam teraz z przodu wozu, że  
widać obóz.

Wychyliwszy się można było rzeczywiście zauważyć na ma-  
łym wzgórzu szereg drewnianych baraków oraz maszt z powie-  
wającą flagą.

Zsiadamy z wozów i idziemy dalej pieszo. Tu już i wóz nie  
przejedzie. Sypki piasek wysypuje się do butów, utrudniając



*Obóz z lotu ptaka*

posuwanie się naprzód. Cały obóz, zda się, przeniesiony jest  
gdzieś na Saharę.

Brniemy do baraku komendy. Na powitanie wychodzą pe-  
wnie jeszcze „ważniejsi“, bo ci to już i gwiazdki i belki i jakies  
łamane belki mieli na kołnierzach.

Oszołomieni oddajemy nasze zawezwania i już pod czyjąś  
tam komendą idziemy do jednego z baraków. Każą nam wcho-  
dzić do środka i przydzielają miejsca. Składamy na tym miejscu  
swe rzeczy i spodełba obserwujemy naszych współtowarzyszy  
— niecenzusowców. Nie dano nam długo odpoczywać. Już za  
chwilę wzywają nas do fasowania przeróżnych rzeczy.

Przerażenie nas ogarnęło na widok tej góry otrzymanych  
przedmiotów. Co z tym robić? Jak się w tym zorientować?

W kilka chwil później wezwano nas już do zdawania cy-  
wilnych ubrań. Wszystkie szło sprawnie i szybko, tak, że do o-  
biadu stanęliśmy już w fasowanych rzeczach.

Zniknęli „cywile“ — powstali junacy. Jeden teraz nie poznawał drugiego, paradującego w straszliwie dużych, nabitych gwoździami butach, stosunkowo nowych mundurach, identycznych zresztą z wojskowymi i w hełmach płóciennych, nowości świeżo zaprowadzonej w J. H. P.

Popołudnie tego dnia poświęcono na pogadanki w obrębie drużyn. Szybko minął czas i tak zakończył się pierwszy nasz dzień w obozie pracy. Zaczęły się teraz długie, jednostajne i podobne do siebie, szare dni pracy.

Groźnie mrucząc i utyskując wstawaliśmy na głos pobudki o czwartej.

Po myciu, modlitwie i śniadaniu, byliśmy o szóstej na miejscu pracy. Wydawano sprzęt i zaczynaliśmy pracować do dziesiątej. Następowala wtedy przerwa trzydziesto-minutowa i dalej praca aż do dwunastej.

Od czwartej po południu zaczynały się pogadanki, wykłady, czasem kąpiel w Warcie. O szóstej rozkaz, potem kolacja, modlitwa i spanie.

Tak mijaly dni. Nie były one łatwe. Jak piekielnie ciężkie wydawały się początkowo taczki, jak nie smakowało jedzenie, jak ciężko było wstawać. Powoli jednak stwardniały dłonie, o dziwo, jedzenie się poprawiło, i wstawanie nie było taką męczarnią.

Kilka słów trzeba by poświęcić jedzeniu. Najżywotniejsza to kwestia we wszystkich obozach. Nie było ono tutaj wyszukane, ale i nie było różnorodne. Stale jedliśmy to samo. Tłumaczono to trudnościami aprowizacji. Dobiwały nas kasze. Nie było dania bez kaszy. Pesymiści utrzymywali, że i kawa jest z kaszy, ale nie bardzo im chciano wierzyć.

Mimo wszystkiego trzeba przyznać, że było wesoło. Ot już rano pierwszym powodem do radości było to, że zdążył się człowiek umyć zanim wody zabrakło. Byli jednak tacy, co utrzymywali, że mycie się to zabobon, a mydło to konserwatyzm, ale żalowaliśmy takich, bo to byli albo melancholicy albo... „poeci“.

A przy rozpoczynaniu pracy, ile to było radości, gdy po morderczym wyścigu dopadło się najmniejszej taczki. Albo gdy udało się opuścić pod rząd pięć kolejek. Albo, gdy na drugie śniadanie dostało się boczek o 5 mm<sup>2</sup> większy od boczku, którym raczył się kolega...

Mógłbym tu przykładów mnożyć bez końca, ale czytelnik pewnie i tak widzi, że bardzo było wesoło. Homeryckie boje staczaliśmy z komendą, zwłaszcza z sekcijnymi, (to ci „ważni“ z dwoma „belkami“) o pracę na dniówkę, a nie na normę. Boje te, nie potrzebują chyba nadmieniać, wygrywaliśmy zawsze.

Zwłaszcza jedna z drużyn roboczych, do której i piszący te słowa należał była „honorowa“ na punkcie poganiania jej przez dozorującego roboty.

Gdyśmy robili sami, to w przeciągu sześciu godzin wywieźliśmy trzydzieści osiem tacek z ziemią. Już na drugi dzień sekcyjny uważał za potrzebne pilnowania i popędzania nas.

Skutek był ten, że aż wstyd było się nam przyznać. Wywieźliśmy dwadzieścia sześć tacek.

Miłym urozmaiceniem były ogniska, których było dwa. Nasza kompania, kompania szósta rej na nich wodziła. Pracowicie liczono dni do końca obozu kurczyły się powoli. Już tylko trzy dni, dwa, jeden...

Po uroczystym nabożeństwie w ostatnim dniu nastąpiło pożegnanie oficjalne przez dowódcę batalionu mjora de Libuschin'a Geronisa.



*Podjazd na wał...*

Po serdecznych słowach ogólnie lubianego majora (w nomenklaturze J. H. P. hufcowego) nastąpiło rozdanie zaświadczeń o ukończeniu służby pracy przez dowódców kompanii.

W niezbyt miłym nastroju, bo w zupełnym milczeniu pożegnaliśmy naszego dowódcę. Nie mogliśmy mu zapomnieć bezpodstawnego zaczepiania nas o jakieś tam niewypełnione rozkazy itp. Z żywiołą radością rzucaliśmy w górę naszego szefa, sekcyjnych, podprzewodników. Los ten nie minął i lekarza batalionowego, nie mówiąc już o majorze.

Po oficjalnym obiedzie (z zupy wyciągnąłem wtedy całkiem nieoficjalny kawał sznurowadła) w obecności majora z rodziną i starszyny J. H. P. odjechaliśmy znów wozem na stację.

O piątej po południu koleją ruszyliśmy do Zduńskiej Woli skąd dalej do Ostrowa.

Nocą już szliśmy „Kolejówką“ dumnie prężąc pierś ustro-  
joną wielką odznaką „Za służbę pracy“ i nucąc hymn junacki:

Młoda junacka idzie wiara,  
Z młodzieńczych piersi dźwięczy głos,  
Sztandarem naszym praca szara,  
A losem naszym Polski Los.

My awangarda  
Pracy armia twarda  
Nasz los — to Polski los  
Nasz los, nasz los.

Idziemy śmiałym hardym, krokiem,  
By z wiarą krzesać czynów stal —  
I spoglądamy dumnym okiem,  
W naszej przyszłości szczytną dal.  
My awangarda... itd.

Niesiemy piosenkę odrodzenia,  
Junackiej pracy trud i znój —  
Chociaż nie każdy nas docenia,  
Idziemy z wiarą w pracy bój.  
My awangarda... itd.

Idziem się uczyć, wychowywać,  
By swą Ojczyznę dźwigać w zwyż,  
Idziemy kochać i zdobywać  
Dla Polski każdą zdrową myśl. —  
My awangarda... itd.

M. Banaszkiewicz

---

## Z okrucichów wakacyjnych

Po błyszczącej tafli szyb toczą się wolno łyzy deszczowe, dzwonią metalicznym dźwiękiem, bulgocą gdzieś w rynnach i z szumem wylewają się potokami na zmokłą, czarną ziemię.

Mrok szary wciska się do pokoju przez okiennice, czasem wiatr głucho zawyje i uderzy znagła w okno i zaszarpie drewnianą ramą, aże się wstrząśnie, jak gdyby zadygotała ze strachu.

Jest ponuro, mroczno, wietrzno; melancholicznie dźwięczy deszcz i śpiewa smutną pieśń, rozetkaną poszumem wiatru i płaczem tych kropli, co dudnią na parapecie okiennym, a jednak czemuż nie smuci się serce człowieka?

Daleko, daleko od zszarzałych w tej deszczowej ciemności oczu, gdzieś w głębi serca tłucze się jasna, słoneczna radość.

Tajemne jakies wzruszenia przechodzą, jak fala przez cichą duszę. Z rubinowych warg jak strumyk wypływają wolno słowa:



Dzięki Ci, Boże!... — I znowu toczą się fale radości, przelewają się przez całą głębię człowieczego istnienia i nucą po tęgę hymnu słonecznego.

O upragniony deszczu! Rozsrebrzyłeś powietrze perlistą mgłą kropel i w zrudziałej, spiaszczonej żarem ognistym ziemi przywróciłeś zamarte życie!...

Rozzłocony słońcem dzień, rozbielony białymi chustami chmur na szafirze nieba, rozgadany odgłosami pracy pośpiesznej, twardej, tak znoejnej, że krople potu spływają po ogorziałych twarzach żniwiarzy a co chwila chwytają któryś tam błękitną blaszankę i ssie zimny, ożywczy kryształ wody, aż mu w gardle bulgoce. Czasem zadźwięczy śmiech, przeleci od końca do końca, pomarszczy spalone lica chłopów i dźwięczny ucieka dalej.

I znów pochylają się oni w tym jednostajnym, monotonnym ruchu w przód i w tył, w przód i w tył i co chwila padają gromady źdźbeł, jak podcięte drzewa, potrząsają jeszcze złotosrebrną grzywą kłosów, jak korony niebotycznych sosen, co za chwilę runą w czarną ziemię zabite, zabite...

Nie skarżą się ciche łany na tę ich dolę prostaczą, na koniec krótki, bolesny. Stoją nieme, głuche, jak gdyby kwitła w nich świadomość, czym są dla spracowanej, szerniałej twarzy wieśniaka, dla mętnych oczu nędzarza, dla wszystkich.

Zżęte zagony wyglądają, jak pobojowisko. Ale na krótko. Bo wnet do ruchliwych postaci żeńców podbiegają kolorowe sylwetki dziewcząt i wiążą kłosa w potężne ciężkie snopy. Zostają one na opustoszałym polu, na suchej szczotce ścierniska, ciągnąc się w bezkresną, siną dal, mroczną już nieco, bo zachód coraz więcej płonie i krwawi a szarość powolna sypie się na świat.

Dożynają ostatki. — Nie rozeznasz już ani sylwetek; wszystko miga, kręci się, pracują goręcej, że jeno pstrokacizna jakas dziwna wyłania się ze wszystkiego. A słońce już nurza się w codziennej krwi, purpurze, goreje kaskadą świetlistą, blasków, a mrok już gęsty spływa na pola i całkiem jest szaro. Dożęli!...

Gdzieś z krańca zagonów porwała się pieśń...

Dzień jasny kona w blaskach zórz

I cicho noc nadchodzi.

Skończył się znoj i praca już —

Ach! Tyle krwawych godzin...

Wesele gdzieś jest wśród nas

O! Zbożne, święte żniwo!

Tyle jest wiary w przyszły czas

I zapął drga w nas żywo!!!...

Szli polami do chat, powracali społem, śpiewali. Radość dygotała w nich całych, rozeszła się pszenną wonią, bijącą w rym ich serc rozgrzanych....

Runęła znów pieśń:

Hej! żyto nasze idziesz w próg  
Niejeden z ciebie będzie stóg —  
Powiódł cię w nasze progi Bóg!  
Hej! żyto, kiej malowane,  
Zapełnisz w stodole ściany.  
Hej! żyto nasze kochane!

A potem wspomnieli im się troski, kłopoty całego roku i ta krwawa ciężka praca.

I znów poleciała śpiewka, ale smętna:

Ile łez wyleje człowiek  
Spod zasnutych rzęsą powiek —  
Ile człek się naboleje —  
Ile straci siły, zdrowia —  
Nim to zboże wkrąg zasieje —  
Nim to zboże mu dojrzeje —  
...Ile człek się naboleje!...

Wchodzili już w opłotki. Przed oczyma ich zabielały słomiane strzechy a oni nie pomni już na nic szli z jakąś uroczystą powagą, aże uciekły kundle wiejskie, szli do chat własnych z oznajmieniem szczęśliwych dorodnych zbiorów...

Jeszcze raz huknięto:

Przynosimy plon, plon!...

Znikli w radosnym rozgwarze wnętrzu...

Na niebie błyskają pierwsze, złote gwiazdy, noc już wisi czarna a w chatach jest jasno...

I jasno, słonecznie jest w sercach ludzkich...

— — — — —  
Hen, po sinym bezmiarze nieba ciągną już klucze ptaków w niepewną, oniemiałą dal... Powietrze jest pełne tajemnych ich rozgwarów a one jeno lecą płyną i przecinają błękitny obszar wciąż, wciąż... daleko, daleko... Ale to jeszcze nie jesień, jeszcze zielono jest wokół, jeszcze kwitną ostatnie przedjesienne kwiaty, jeszcze dni oprzędzone są jasną po złotą sierpniego słońca, jeszcze jest tyle w sercach bujnej, potężnej radości, cichych wzruszeń, świetlanych zachwyków i tej mocy, która, zda się, pokona najgorsze. Gorzej w nich i płomieni się wiara w życie, w niezmierną jego potęgę.

Jasnym ogniem strzela z nich promień nadziei, ukochanej, zbawczej nadziei. Za dzień, za noc, za chwilę znikną lodowe podmuchy wiatru, czarna, głucha rozpacz i posępny koszmar martwoty.

Za kilka burzliwych, mrocznych chwil, cicho spłynie na skamieniałe zamarłe grudy ziemi młoda postać Wiosny...

I wiara i nadzieja opromieniają serca ludzkie, skołatane codzienną troską ludzkiego żywota.

Puka do serc gość trzeci. Zjawia się w czasie tej kończącej się radości i powolnego zamierania życia wkrąg, zjawia się — ukochanie.

Szło ono za człowiekiem krok w krok, gdy tylko słońce zaczęło mu świecić w oczy kaskadą złotych blasków wiosennych, szło za nim przez chwile promienne, ukochane w złotych rozświtach dni w wieczor., krwawych zorzach. Szło za nim wciąż, niewidzialną dłoń kładło na gorące serce, że kochał wonne zapachy kwiatów, uśmiechy słońca, naturę całą, wielką, przeogromną, wspaniałą.

Wtargnęło teraz do tego serca, ozłociło jego ściany, właśnie teraz, gdy konać zaczyna wszystko powoli, cicho, bez szelstu.

Jeżeli zostanie w nim na zawsze, nie będzie czuć człowiek ni białych śnieżnych zawiei, ni kostura zimy mroźnej, ni rozpaczę głuchej, czarnej ale rozgrzeje mu w duszy i sercu ognisko ukochania!

Reising Ryszard.

---

## Z pamiętnika pilota

29. 6. 38 r.

Przyjechałem latać — tu tymczasem od paru dni uczą, jak się stawia baraki, urządza obóz, itp. Czy my w ogóle będziemy lotnikami? A może jest to wstęp do pilotażu?

30. 6. 38 r.

Nareszcie przypomnieli sobie, że mają nas nauczyć latać. Przez cały dzień czternaście „chwiejnic“ kiwało się na Gromadźynie. Jest nas w grupie 21, ale instruktor obiecał nam, że ta liczba zmniejszy się wkrótce do połowy.

Porucznik nasz, p. Słaby, okazał się jednak bardzo mocnym człowiekiem. Kilkakrotne „padnij“ utrwaliło to w naszej pamięci.

4. 7. 38 r.

Dziś mieliśmy „skoki“. Mamy w grupie dwóch Ślązaków, którzy stale trzaskają maszyny. Jutro na pewno instruktor „wylaszuje“ ich do domu. Przed chwilą właśnie widziałem jak się robi „ramwersa“ na wysokości 5 m nad ziemią. Skutek tej figury akrobacyjnej był taki, że maszyna powędrowała na remont zimowy, a niedoszły pilot — do domu.

Zbiłem lusterko. Co to oznacza?

6. 7. 38 r.

Dzisiaj nie mam już siły nic pisać, taki jestem przemęczony. Pamiętam tylko, że było potrzaskanych 21 maszyn.

13. 7. 38 r.

Trzynasty! — tego dnia nie zapomnę! Zaraz rano wiatr porwał nam maszynę razem z koniem i wywrócił na plecy. Koń i maszyna poszły na remont, czy nawet do kasacji. Już tego nie pamiętam.

Trochę później jeden z junaków wylądował na... krowie. Zaden chyba rzeźnik nie może się poszczycić tak szybkim zabiciem. Za szkody, jak zwykle, płaciło państwo. W pierwszym locie jeden z kolegów strzaskał drugą maszynę. Lataliśmy wreszcie cały dzień tylko na jednej. Gdy przyszedł trzynasty z kolei lot, nikt nie chciał lecieć. Chociaż jestem przesądny — poleciałem. Nie tylko, że nie potrzaskałem maszyny, ale zrobiłem dzisiaj A.

19. 7. 38 r.

Zbliża się dzień wyjazdu. Podkat. B., już mam w kieszeni. Dowódca nasz latał dzisiaj na P - 11. Jest to чудо a nie maszyna. Został tam włożony cały wysiłek polskich instruktorów.

25. 7. 38 r.

Już jestem drugi miesiąc na kursie. Od paru dni latamy na „Salamandrach“. Grupa nasza stale się zmniejsza. Zostało nas trzynastu.

5. 8. 38 r.

Wszyscy w grupie mamy już „C“. Dzisiaj zaczęliśmy trening do D. Nawet wypadek z liną nie popsuł mi humoru. Obiad był dzisiaj wyjątkowo dobry. Może dlatego, że była inspekcja dwóch generałów. Bardzo dobrze żyjecie — mówił jeden — nawet ciastka na deser dostajecie. Czego wam jeszcze brak? — „Codziennej inspekcji“ — odezwał się ktoś nieśmiało.

19. 8. 38 r.

Dziś, po dwutygodniowej przerwie, dostałem wreszcie lot. Po półgodzinnym locie instruktor dał znak czerwoną chorągiewką: — Lądować! Starczy po chorobie — powiedział — gdy przyszedłem na start. Nie byłem jednak z tego zadowolony.

20. 8. 38 r.

Dzisiaj poczułem na własnej skórze, co to jest „kibel“ w powietrzu. W czasie całego lotu myślałem o tym, żeby wylatać warunek do D. Ale noc przeszkodziła moim zamiarom.

21. 8. 38 r.

Po sześćdziesięciu dniach kursu w Ustianowej zamykam ten mój „pamiętnik“ z pewną satysfakcją. — Mam przecież prawo nosić „try mewki“.

Pilot szyb.

# Z wakacjopisów II

## PISMA

Tam, gdzie spojrzeć się odważyć,  
Poeci i dziennikarze...  
Tu powieści, tam nowele,  
Wszędzie słów, papieru wiele —  
To są — pisma.

Zasypane są księgarnie  
Pismem, co „na białym czarne“.  
O pieniądzach... o dziewczynie...  
Fala pism po świecie płynie  
Niby Wisła.

Z miną po pańsku nadętą  
Stosy liter z atramentu  
Wpadają w świat zachmurzony,  
Dźwięcząc na przeróżne strony,  
Jak klawisz.

Literatom i poecie  
Zawdzięczamy, że nas gniecie  
Zmora pism w życia bukiecie!  
Straszne!!! Lecz ja także przecie  
Ciągle... piszę!

**Tadeusz Z. O. Nabzdyk**

---

## Bo w lotnictwie dobrze jest...

Po dwukrotnych badaniach lotniczo - lekarskich w Poznaniu i w Warszawie, nastąpił dzień oczekiwania wiadomości o przyjęciu na kurs szybowcowy w Ustianowej. Przyjęcie to decydowało zarazem, czy kandydat nadaje się do lotnictwa, czy też nie. Nadszedł wreszcie w ostatni dzień roku szkolnego rozkaz wyjazdu, z podpisem jak zwykle — nieczytelnym. Jak rozkaz — to rozkaz. Więc trzeba było natychmiast jechać.

Ustrzyki Dolne, to jedno z „większych“ miasteczek w woj. lwowskim. Kiedy tam zajechaliśmy, doznaliśmy wrażenia, że jesteśmy w Palestynie. Na 700 Polaków, przypada 2 tysiące Żydów! Wiadomość, że „junaki przyjechali“, objęła w kilku sekundach wszystkich wyznawców Mojżesza. Porobiły się zaraz grupki po pięciu, sześciu i więcej Żydów, ze strachem spoglądających na junaków, którzy najspokojniej w świecie majstrowali coś przy karabinie, wględnie szukali czegoś w ładowniach.

Nie wiedząc, gdzie jest obóz, zatrzymujemy pierwszego lepszego „anglika“ i prosimy o informacje. Żyd wystraszony zaczy-

na się jękać: „Ja dla panów pilotów zawsze bardzo chętnie i... już go nie było. Po dwóch godzinach szukania, znaleźliśmy wreszcie nasz obóz, a właściwie nie obóz, tylko miejsce, gdzie miały stanąć baraki. Prace rozpoczęto dopiero wtedy, kiedy przyjechali pierwsi junacy.

Po czterech dniach urządzania obozu, rozpoczęły się loty. Program dnia był następujący: 4,45 pobudka (czasem o godz. 3), godz. 5,00 modlitwa i „mycie“, 6,00 śniadanie. Loty zaczynały się o 7,00 i trwały do 11,00. Od 11,00 do 14,00 przerwa obiadowa a następnie loty do 18,00, względnie 20,00. O godz. 21,00 cały obóz spał, z wyjątkiem oficerów i podoficerów, którzy w tym czasie najlepiej się bawili w pobliskim miasteczku.

A teraz coś o samym szkoleniu. Szkolenie odbywało się w prawdziwym tempie wojskowym. Po kilku dniach „chwiejnicy“ i „szurów“ następowały pierwsze loty, z coraz to większych wzgórków. Po trzech tygodniach dotarliśmy wreszcie na sam szczyt góry. Góra z której lataliśmy, nazywała się Gromadżyn i miała 654 m wysokości bezwzględnej (wys. wzgl. 210). Kto nie mógł nadążyć za tempem szkolenia, musiał się wyrzec latania i jechał do domu. Teraz dopiero zaczęło się sprawdzać zdanie naszego instruktora, który mówił: „Latanie jest sztuką, a nie umiejętnością. Gdyby była umiejętnością, to latać nauczyłyby się każdy“. Kompania nasza, licząca z początku 156, zmalała pod koniec do 98.

Zbliżał się szybko koniec kursu. Prawdziwą więc niespodzianką była wiadomość a właściwie rozkaz p. majora (baczość! — na prawo patrz!), że dziesięciu „wybrańców“ ma pozostać na drugi turnus. Znalazłem się pomiędzy nimi i wobec tego zostałem. Razem z pierwszym turnusem pożegnaliśmy nasze pocziwe, pokraczne „Wrony“ i rozpoczęliśmy loty na „Salamandrach“. Jest to maszyna szkolna drugiego typu, półrasowa, posiadająca już kabinę. Dopiero teraz można było powiedzieć, że się lata. W paru dniach, cała nasza dziesiątka zrobiła podkategorię „C“.

Tymczasem do końca II turnusu było jeszcze 2 tygodnie czasu. Rozpoczęliśmy więc trening do kategorii „D“. Od tej chwili stało się jakoś trochę ciasno w powietrzu. Kiedy nad zboczem znalazło się kilka maszyn razem na „żaglu“, trzeba było jeszcze zważać na przepisy o ruchu, które niestety, w powietrzu również istnieją. Były nawet wypadki, że kilku porobiło „przeloty“ do stolicy Łotwy. Jak później opowiadali, nie bardzo przyjemnie się tam czuli. Bardzo szybko przeleciał II turnus. Z żalem żegnaliśmy się, chociaż za rok prawie wszyscy spotkamy się na kursie pilotażu motorowego w Łodzi, Bielsku lub Rumii.

Z większym żalem żegnaliśmy Ustianową. Tam przecież już nigdy nie wrócimy.

Gdy pociąg ruszył z dyplomowanymi już pilotami, popłynął w niebo, tam gdzie przed paroma dniami lataliśmy, — hymn lotników:

„Lotnik, skrzydlaty władca świata,  
bez granic. Ze śmierci drwi,....“

L. Hołdowski

## Forsan et haec olim meminisse iuvabit!

Przed dziesięciu laty, w roku 1928, dwudziestu czterech abiturientów wysiłało się nad zdobyciem matury.

Zdobyli ją wreszcie dużym trudem i wysiłkiem i zdawało się młodemu, że świata panami zostali i, że teraz dopiero zaczęną żyć pełnią sił swych.

A dziś, po dziesięciu latach refleksja i stwierdzenie: Owo ponętne życie zachłanne jest na wysiłek i na zapal. Jeśliby hartu pracy nie wynieśli w mierze potrzebnej z gimnazjum, musieliśmy zdobywać go od nowa, w warunkach trudniejszych, bo nie prowadzeni przez wychowawców. Jeśliby idei nie zacerpnęli, by nam starczyło na rozpoczynające się życie, musieliśmy żyć szarą codziennością, nie zdolni do wzlotów, obdzierani często nawet z tej części ideałów, które nam Alma Mater potajemnie zaszczepiła.

I dlatego każdy z nas chętnie przeszedłby okres pracy w szkole średniej i przeżyłby go lepiej i intensywniej, niż na to pozwoliła młodość i niedoświadczenie wieku gimnazjalnego.

A przed dziesięciu laty byliśmy uczniami, tak, jak Wy dziś jesteście. Wspominamy z dumą czasy, gdy dźwigaliśmy „Promień“ z upadku. Gdy co miesiąc, wypuszczaliśmy numer, wypracowany przez nas i nas odzwierciedlający. A praca nasza polegała nie tylko na pracy redakcyjnej, ale także na wykonawczej. Byliśmy redaktorami i drukarzami równocześnie. To też „Promień“ był naszym serdecznym tworem i takim w wspomnieniach pozostał.

I tak tworzyło się nasze wychowanie do pracy społecznej.

Prowadziliśmy T.T.Z., prowadziliśmy Kółko Przyrodnicze, Sodalicję Mariańską, pracowaliśmy w bibliotece, organizowaliśmy przedstawienia antyczne i dziś czujemy, że nie formalna strona życia zakładu, a te właśnie czynności związały nas we wspomnieniach jako całość i jedność.

W przeczuciu tego wydajemy „jednodniówkę“ na czele której figuruje hasło: „Forsan et haec olim meminisse iuvabit“. I jednodniówka stała się jedynym świadkiem działania i życia naszej małej społeczności gimnazjalnej.

Dziś z grona 24 maturzystów z roku 1928, dwu odeszło do Wieczności, a reszta niespostrzeżenie weszła w życie społeczeństwa, usadowiła się na poważnych po części stopniach jego hierarchii i wspomnienia z lat gimnazjalnych stanowią dla nich bogaty zapas zachęty do pracy i działania.

Koledzy zaś, związani ze sobą wspomnieniami tych lat, choćby rozłączeni czasem i przestrzenią, witają się jak świeżo rozstali, ale spragnieni wspomnień przyjaciele.

To jest siła przeżyć z przed lat dziesięciu.

Wierzmy też silnie, że my z przed dziesięciu laty, i ci, którzy wyszli po nas przez okres minionego dziesięciolecia, i ci, którzy jeszcze wyjdą, łatwo znajdziemy język wspólnego porozumienia i, że łatwo sentyment do naszej Alma Mater sprowadzi nas razem na niedalekie już stulecie naszej uczelni.

— L. R. —

Dnia 2 lipca 1938 r. miał się odbyć zjazd absolwentów gimnazjum z r. 1928. Niestety, nie wszyscy mogli przyjechać, więc zjazd z konieczności ograniczono do wspólnej pogawędki, po czym udano się na mszę św. o godz. 8-ej ofiarowaną przez absolwentów śp. prof. Nikodemowi Malakowi, długoletniemu opiekunowi ówczesnych uczniów.

Oto co czytamy w „Promieniu“ nr 9 maj 1928. Rok III.

#### KRONIKA

W Gimnazjum Męskim egzamin odbył się w dniach 14, 15, 16 bm. (maja). Dojrzałość przyznano dwudziestuczerem abiturjentom. Zdali:

- |                           |                           |
|---------------------------|---------------------------|
| 1. Andrzejewski Czesław † | 13. Mozolewski Józef      |
| 2. Bereszyński Czesław    | 14. Mrówczyński Bogdan    |
| 3. Bielski Teodor         | 15. Namysł Roman          |
| 4. Chełkowski Krzysztof   | 16. Neuman Janusz         |
| 5. Frąckowiak Jan         | 17. Nowacki Franciszek    |
| 6. Knopiński Marjan       | 18. Obarski Marjan        |
| 7. Korzeniowski Janusz    | 19. Oświecimski Marjan    |
| 8. Kuczkowski Czesław     | 20. Pałys Bolesław        |
| 9. Lipski Władysław       | 21. Pasternak Józef †     |
| 10. Magdański Marjan      | 22. Rowiński Lech         |
| 11. Mierzwiaak Jan        | 23. Stachowski Franciszek |
| 12. Miłski Lutostaw       | 24. Wciórki Edmund        |

Kier. Wyd.

---

— J. Kochanowski

„Gdzie się myśli nie zgodzą, tam przyjaźń dziurawa“.

„Zawsze trwalszy owoc dowcipu, niż siły“.

„Ten pan, zdaniem mojem, kto przestał na swoim“.

„Prostak to, który wojsko z wielkości szacuje: zwycięstwo liczby nie chce, męstwa potrzebuje“.

---



# St. Junacy w Rozewiu

— Baczność!

Rozewie, dnia... lipca 1938 r.

Rozkaz dzienny nr...

— Spocznij!

Rozkład zajęć na dzień następny:

Godz. 4,45 pobudka, mycie (w morzu), ubieranie, porządkowanie (baraków), śniadanie.

Godz. 6 wciągnięcie flagi, po czym ćwiczenia i zajęcia w myśl programu.

Godz. 14 Powrót, obiad.

Godz. 15 Wychowanie obywatelskie.

Godz. 15,30 Przysposobienie sportowe.

Godz. 17 Czyszczenie broni.

Godz. 18,45 Rozkaz dzienny — kolacja.

Godz. 20,45 Opuszczenie flagi i modlitwa.

Godz. 21 Capstryk.

— Baczność!

Podpisał: Fetkowski — kapitan.

— Spocznij!

Oto jeden z planów pracowitych dni w Rozewiu. Tematem ćwiczeń w dniu następnym było: Zespół (batalion) w obronie. Natarcie na nasze stanowiska, zajęte przez nas w ulewnym nocnym deszczu wykonywała Szkoła dla małoletnich z Konina, wspierana przez trzy k. m.

Po ćwiczeniach o godz. 12-tej nastąpił pokaz broni używanych przez pułki piechoty: broń maszynowa, przeciwpancerna i miotacze ognia. Zaznajomiliśmy się z budową, obsługą i działaniem r. k. m., c. k. m. (na biedce i na taczance), miotacza ognia i działka przeciwpancernego. Widzieliśmy także zajmowanie stanowiska przez każdą z tych broni. Zaznaczyć wypada, że to, cośmy widzieli, zostało wyprodukowane rękami polskiego robotnika, i jest dziełem umysłu polskiego inżyniera.

W sobotę 23 lipca 38 r. zaszczylicili nasz obóz swoją obecnością pp. Senatorowie i Posłowie z p. Marszałkiem Senatu Al. Prystorem na czele w towarzystwie p. gen. Sawickiego, dyr. P. W. i W. F. Dostojni Goście przyjechali samochodami z Celniewa, gdzie do południa gościli u naszych pomorskich kolegów z D. O. K. VIII. W czasie obiadu p. Marszałek między innymi powiedział: „Każdy człowiek promieniuje na swe otoczenie. To też i wy macie możliwość rozszerzania idei, którym służycie, na otoczenie własne. W myśl wskazań Konstytucji każde pokolenie winno przekazać następnemu pokoleniu Polskę silniejszą. My przedstawiciele izb ustawodawczych ufamy, że obowiązek ten spełnicie należycie“.

Po obiedzie pp. Parlamentarzyści udali się na zwiedzanie latarni im. S. Żeromskiego, gdzie ostatnio zostało otwarte muzeum pamiątek po tym pisarzu, ponieważ w jednym z pokoi tej latarni pisał on ongiś „Wiatr od morza“. Po powrocie z latarni dostojni goście dokonali lustracji naszego obozu i byli obecni w czasie zajęć W. F.



*Zdjęcie przedstawia powitanie Szan. Gości. Stoją w 1 rzędzie od lewej pp.: ppłk. Sokółowski, Marsz. Senatu Prystor, mjr Grochola, dow. obozu, kpt. Fetkowski, dow. 1 kompanii.*

Wieczorem odbyło się ognisko urządzone przez nasz batalion na cześć gości, po którym przemówił p. Marsz. Prystor wyrażając zadowolenie i podziękowanie za miłe przyjęcie oraz składając życzenia dalszej owocnej pracy dla Państwa, dla podciągnięcia Polski wzwyż.

Tej nocy, spaliśmy tylko 5 godz., gdyż pobudka była o godzinie 4-tej. Godzinę później maszerowaliśmy 8 km do Hallerowa, skąd udaliśmy się koleją do Gdyni. Po zwiedzeniu miasta, portu handlowego i wojennego udaliśmy się do koszar marynarki wojennej, gdzie „niechąco - naumyślnie“ dostaliśmy grochówki. W obozie jedliśmy ją co drugi dzień. (Może dla tego, że dowódcą obozu był p. major G.) Wieczorem odpłynęliśmy statkiem do Jastarni. Z powodu spóźnienia się na pociąg wypełniliśmy wolny czas koncertem trzech chórów na ulicach Jastarni. Drogę powrotną z Hallerowa do Rozewia odbyliśmy w czasie 1 godz.....naście minut. Spać kładliśmy się o godz. 1-ej w nocy nie jedząc (jak zwykle nie wszyscy) kolacji z powodu znużenia.

W czasie obozu odbyły się cztery ogniska, urządzone po jednym przez każdą kompanię i jedno wspólne. Pozatem byliśmy na jednym ognisku Koleżanek z Wadowic, które mieszkając w Turpadłach, nie opuściły ani jednego naszego ogniska. A oto wyjątki z kupletu obozowego, śpiewanego przy ognisku:

...Nasz pan major dobry człek,  
lecz za młody na swój wiek...  
...Gdy nastanie ciemna noc  
pan porucznik ściąga koc  
karty z kolegami łupie  
a gdy przegra złość go ciupie.  
A zaś na drugi dzień  
chodzi struty jak cień  
złość swą na nas wyładuje  
dwie godziny nas musztruje...  
...A nasz pan plutunowy  
człek poczciwy morowy  
za czterech on konsumuje  
tłusty brzuszek se hoduje...  
...Nasz pan kapral mały jest  
ale za to chłopak fest  
musztrami nas nie przemęcza  
Lecz nazwiska nam przekręca...  
...Obok obóz zdobniczek  
kształcących się artystek  
są tam różne piękne panie  
to dla szarży polowanie..."

Pozostała, zbytnią energię wyładowała druga kompania na pewnym st. junaku, mojąszowego wyznania w ostatnią dobę o północy. Na pewno zgubili ją jakiś czas potem, gdy biegiem, boszo w koszulinkach ubijali przez dobrą godzinę ziemię dookoła „baraki“. Z „przedpożegnającego“ przemówienia p. majora, pełnego gromów i „epitetów końskich“ zapamiętaliśmy tylko za...ncy. To nas dobiło, lecz na krótko, gdyż wszystkim wszelkie przewinięcia względem nas darowaliśmy maszerując do Hallerowa, na dworzec. Po drodze, w Cetniewie, życzyliśmy naszym pomorskim kolegom, wykonania conajmniej takiego natarcia, na nieprzyjacielskie pozycje, jakie my zrobiliśmy.

Woschke Kazimierz.

---

— St. Żeromski

„Każdy ma swe miejsce, ulubione w dzieciństwie — to jest ojczyzna duszy“.

„Dzieje świata są dziejami zwycięstw ludzi nad ludźmi“.

„Wszystkie najwznioślejsze hasła są kłamstwem, jeżeli wiodą do materialnego wywyższenia tego, kto je głosi“.

„Granica krzywdy leży w sumieniu, w sercu ludzkim“.

---

# Jesień

Wackowi M. — poświęcam

Idzie... Kto idzie?  
Nie wiecie? To ona!  
To jesień stęskniona  
za światem.

Wlecze... się wlecze...  
Nareszcie! Bo długo  
Ciemną chmur szarugą  
nie drżała.

Długo?... Czy długo  
tu będziesz starucho?  
Zobaczę... posłucham  
czy chcecie

hym była z wami  
na ziemi.

Jacek Jasiński

## Sprawozdanie składek na karabin maszynowy

od dnia 14 czerwca br. do dnia 20 września br.

Stan z dnia 14. 6. br.	861 22 zł
Grono profesorskie	51 50 zł
I a	1 90 zł
I b	3 00 zł
II a	6 30 zł
II c	12 24 zł
III a	3 00 zł
III b	10 50 zł
III c	10 00 zł
IV a	10 50 zł
VIII b	11 70 zł
%o	13 35 zł
<b>Razem</b>	<b>995 21 zł</b>

### — A. Mickiewicz

„Silni ludzie mają zwykle wielu nieprzyjaciół, słabi zaś, przyjaciół“.

„Gdy spożywamy owoc, pomyślmy z wdzięcznością o drzewie i o ogrodniku“.

„Kto chce jeść słodkie poziomki musi ich szukać i do nich się schylać“.

„Aby lepiej poznać znajomych, nie jest koniecznym doznać aż katastrofy życiowej. Wystarczy wyświadczyć im przysługę“.

„Zycie składa się z białych i czarnych nitek — dlatego jest szare“.

## U źródła!...

Mówią, że Warszawa jest głową Polski; Gdynię nazywają płucami a ja nazwę Częstochowę sercem Polski!

Z nią to wiąże się bardzo nasza historia, w niej skupiają się myśli i dążenia całego narodu. Tu nasi królowie nosili wota z podzięką za łaskę, tu czerpał moc i siłę naród w niewoli.

Nie potrzeba nawet szukać dowodów w historii. Wejdźmy dzisiaj do cudownej kaplicy Matki Boskiej Częstochowskiej a ujrzymy na ścianach symbole wszystkich prawie stanów i organizacji. Dali tam swe wota harcerze, akademicy i nauczyciele, kupcy, rolnicy, słowem cała Polska jednoczy się w tej miłej, małej kapliczce.

Dlaczego?

Bo tam jest coś więcej niż portret.

Ani tego opisać, ani powiedzieć nie można. Kto tam wejdzie, czuje się jakiś wruszony, zmieniony, inny. Ci, co w swej parafii podczas podniesienia ledwo głowę schylą, tam padają na kolana. Pielgrzymki napływające zewsząd ciągle rosną a w tym roku wzrosły do niemożliwej wprost liczby.

Ludzie znękani walką o byt moralny i materialny wprost instynktownie szukają tu ostoji, portu zbawienia, pomocy, siły.

I dziwni są ci mnisi strzegący świętego przybytku. Są prości, ale uczeni; jak mądrze, jak głęboko myślą!...

Pamiętam, jak żegnający pielgrzymkę ostrowską Paulin mówił:

„Wisiała niedawno nad Europą ciężka groza wojny; jakie ona przynosi nieszczęście mówić nie trzeba. Oto w chwili, gdy się wahało wkroczenie wojsk niemieckich w granice Czecho-słowacji a w dalszym skutku wojna światowa, w tej właśnie chwili tysiące wiernych, zebranych z całego świata na Kongresie Eucharystycznym modliły się u stóp Jezusa o pokój. I co się stało, wiemy. Zdawałoby się mogło, że to dziwny zbieg okoliczności a jednak i w tym był palec Boży“.

— Kiedy chodziłem po wałach klasztornych, zauważyłem grupkę wieśniaków śląskich odprawiających drogę krzyżową. Nie mogę w tej chwili opisać należycie swego podziwu, jaki mną ogarnął. Byłem jeszcze pod wrażeniem przeczytanych niedawno książek Sienkiewicza: pod wpływem „Bez dogmatu“ i „Wirów“, pełnych walk człowieka o szczęście, pełnych szamotanii się człowieka wykształconego z losem.

A oto ci ludzie prości tacy szczęśliwi, takie spokojne mają twarze, taka wewnętrzna radość bije od ich oblicza...

Co to jest? Czyżby nie znali trudu pracy?

Na pewno nie!

To prostota wiary, jaką ci ludzie mają daje im takie zadowolenie.

A wiecie, kto to wszystko sprawia?

Ta, co „jasnej broni Częstochowy i w Ostrej świeci Bramie!”

H. Kamiński, lic. kl.

---

## Noc

Nic, tylko głucha cisza.  
Niedługo godzina dwunasta.  
Siedzę samotny, nie zasnę  
dla Ciebie wiersz ten piszę.

— — — — —  
Sam...

mrok ciemny nade mną pachnie,  
tajemnic rąbek rozchyła,  
gdzieś w głębi serca, na dnie  
budzi się wspomnień tyle...  
Życ wspomnieniami nie sztuka  
(toć przecież każdy umie).  
Trudniej jest znaleźć siebie  
w tak gęstym ludzi tłumie.  
Lepiej — jak ja w tej chwili —  
wyjść sobie tak sam, nocą,  
niebo się do mnie mili  
gwiazdy rzęsiście migocą.  
Przede mną łzawe Tatry  
i rozmodlone Pieniny.  
Zdała kiwa leniwo  
łysiną Giewont siny.  
A ja wśród tego ogromu  
Sam jeden — zamyślony...

— — — — —  
Północ już dawno minęła.  
Zaczyna robić się jaśniej.  
Wszystko już dawno posnęło  
a kiedy serce me zaśnie?...

Tadeusz Rajski

---

— A. Mickiewicz

„Są doświadczenia nawet bez wyznania —  
są obowiązki nawet bez zobowiązania”.

„Polska wtenczas silna powstanie, kiedy nabędzie przekonania  
iż bez wszelakiej obejdzie się pomocy — i wtenczas tylko znaj-  
dzie pomoc”.

---

## Zagadnienie motoryzacji w naszym zakładzie

Ostatnio doniosła prasa, że jeżeli postęp motoryzacji w kraju będzie się dalej rozwijać w tym samym tempie, to staniemy przed koniecznością sprowadzania benzyny z zagranicy. Postęp ten choć posuwa się w żółwym tempie, to jednak na dzień 1 lipca 1938 r zanotowaliśmy 20 pct motocykli (12 476) więcej, niż przed rokiem (10 162). W dniu 1 lipca 1937 r na jeden pojazd mechaniczny przypadło w Polsce 819 mieszkańców, gdy już w tym roku co 666 - ci mieszk. posiadał pojazd mechaniczny. W dniu tym zanotowano w Warszawie 10 903 pojazdy, w woj. Poznańskim — 6 921, Śląskim — 5 995, Pomorskim — 4 831, Łódzkim — 4 235. Najmniej zanotowano w woj. Poleskim — 477 i Tarnopolskim — 472.

W najbliższym czasie zamierza inż. O. Kuczora (Bydgoszcz) przystąpić do otwarcia fabryki, która będzie produkować polski samochód ludowy, jego konstrukcji. Samochód marki „Europa“ będzie posiadał silnik z tyłu wozu, zaś długość wyniesie 4 m, szer. 1,5 m, cena zaś z pewnością nie przekroczy 3 000 zł.

Należy zaznaczyć, że liczba posiadających (zielone lub czerwone) pozwolenie prowadzenia pojazdów mechanicznych jest znacznie wyższa. Liczbę tych amatorów sportu motorowego powiększyli uczestnicy ostatniego, drugiego z kolei kursu samochodowo - motocyklowego, o którym wspominałem w marcowym nr „Promienia“. Kurs powyższy zakończył się egzaminem w dniu 18 czerwca br. W dniu tym p. kpt. Rojek przyjął egzamin od 38 kandydatów. Wynik egzaminu był w 100 pct dodatni.

W wyniku tego egzaminu prawo kierowania wszelkich pojazdów mechanicznych posiadają:

- |                         |                      |                    |
|-------------------------|----------------------|--------------------|
| 1. Prof. Tadeusz Janiga | 5. Frydrychowicz K.  | 9. Maj Jerzy       |
| 2. Adamski Henryk       | 6. Gardziel Lech     | 10. Markiewicz Jan |
| 3. Antoniewicz Jerzy    | 7. Hołdowski Ludomir | 11. Woschke Kaz.   |
| 4. Cegła Stefan         | 8. Korzewka Marian   |                    |

Prawo kierowania samochodem otrzymali:

- |                  |                    |                    |
|------------------|--------------------|--------------------|
| 1. Bąk Czesław   | 4. Kaczmarek Lech  | 7. Wojtasik Kaz.   |
| 2. Białek Edmund | 5. Rogacki Leonard | 9. Wronecki Henryk |
| 3. Idzior Bogdan | 6. Walczak Józef   |                    |

Pozwolenie prowadzenia motocykli zdobyli:

- |                    |                     |                      |
|--------------------|---------------------|----------------------|
| 1. Biedowicz Bol.  | 7. Karbowski Albin  | 13. Kwietniewski M.  |
| 2. Buchwald Henryk | 8. Kaźmierczak Jul. | 14. Płaczek Kaz.     |
| 3. Bzówka Leon     | 9. Kolasa Tadeusz   | 15. Stasiak Czesław  |
| 4. Gąsowski Kaz.   | 10. Kołak Marian    | 16. Szymanowski W.   |
| 5. Jaś Marian      | 11. Kosik Antoni    | 17. Walczak Tadeusz  |
| 6. Karge Józef     | 12. Kut Antoni      | 18. Wojciński Edmund |

Nadmienić wypada, że uczestników kursu było znacznie więcej, jednak z powodu opłaty egzaminacyjnej, która wynosi-

ła 20 zł za samochód, a 15 zł za motocykl, niestety, nie wszyscy mogli stanąć do egzaminu.

W roku szkolnym 1938/9 p. prof. K. Stanczykiewicz poprowadzi trzeci z kolei kurs samochodowo - motocyklowy, za tą samą opłatą co w latach ubiegłych a przeznaczoną na benzynę, oliwę i amortyzację gimnazjalnych pojazdów mechanicznych.

Woschke Kazimierz.

## „El...y“

...pod takim to, pełnym oryginalności, a zarazem i tajemniczości pseudonimem, ukrywał swe prawdziwe nazwisko wielki mistrz formy wierszowej, poeta dla wybranych, — jak mówią krytycy — Adam Asnyk, którego setną rocznicę urodzin obchodziliśmy niedawno, bo 11 września br. wraz z jego miastem rodzinnym — Kaliszem.

Asnyk szerszym kołom społeczeństwa nie jest znany przez swe najgłębsze utwory, jakimi są jego dramaty: „Cola Rienzi“ lub „Kiejstut“, albo komedie, jak: „Przyjaciele Hioba“, „Bracia Lerche“, „Gałązka heliotropu“ albo też poważne odczyty o „Antygonie“, „Królu-Duchu“, czy też „Księżciu Niezłomnym“, ale popularnym stał się i długo nim będzie przez swe wiersze erotyczne, krótko zwane „erotyki“ i przez moc swych wierszy i cyklów, należących do liryki refleksyjnej.

Wiersze jego — to artyzm formy, którym znacznie przewyższał Krasińskiego — jak mówi Kaz. Czachowski — choć nie dorównał mu siłą wyobraźni twórczej. Układa on je w kunsztowne i bardzo urozmaicone strofy, które toczą się językiem spokojnym i trzeźwym, zawsze w takt muzykalnej rytmiki, kołysząc się na pełnym wdzięku i świetności rymie i słusznie mówi poeta, że:

„... mój każdy rym najprostszy,  
swoim rogiem szatan ostrzy...“

Dlatego też jego poezja ma cechę ogromnej i miłej czytelnikowi subtelności; u niego sztuka malowania zmian i odcieni psychologicznych, dokładnych rozbiórów myśli, uczuć — jest doprowadzona do mistrzostwa.

Właściwością natury Asnyka był także dowcip, i to nie humor, który cechuje ludzi uczuciowych, ale w rodzaju niepoślednim, zaspakajający najwybredniejszego estety. Jego wiersze, jak: „Napad na Parnas“, „Replika“, „Karnawałowy lament poety“ i wiele innych, w ogóle całe mnóstwo erotyków satyrycznych, należą do najdowcipniejszych utworów polskiego pióra.

Niejedne swe erotyki komponował poeta jako pieśni i które tak zostały spopularyzowane, że zapomina się o ich twórcy. Na przykład:



„Gdybym był młodszy, dziewczyno,  
Gdybym był młodszy!  
Piłbym, ach, wtenczas nie wino,  
Lecz spojrzęń Twoich najśodszych  
Nektar, dziewczyno!

Powyższa pieśń, jest doskonałym przykładem popularności erotyków Asnyka.

W tych wierszach, poczynając na poważnych utworach, a kończąc na obudzeniu się pragnienia miłości w duszy młodego dziewczęcia, autor jest pełen subtelnej delikatności i chwytta drobinki uczucia z wyrachowaniem skąpeca.

Prawdziwy rozgłos przyniosły Asnykowi jego wiersze zaliczone do liryki refleksyjnej. — Takim zbiorem tej liryki jest cykl „Nad głębiami“, w którym odbywa się przemiana pojęć ogólnych, myślowych, w rzeczywiste obrazy poetyckie, które są tłumaczeniem przemyślań poety na język poezji.

Asnyk, jako poeta okresu pozytywizmu, miał żywe poczucie rzeczywistości. Z hasła pozytywistów przejął się najwięcej oświatą i jej to godnie oddał się na usługi. W twórczości swej odzywa się mocnym i szczerym tonem wiara w dobrodziejstwa oświaty, w postęp ludzkości i w siły młodych pokoleń („Daremne żale“).

Z jego inicjatywy i pod jego kierownictwem powstało w Krakowie „Towarzystwo Szkoły Ludowej“.

Jego poezja, tycząca się tego okresu, w którym żył i działał, przemawia niekiedy i do potrzeb dzisiejszych. Treść nie zwietrzała, sens aktualny. Do nas szczególnie przemawia wiersz „Do młodych“, coś jak „Oda do młodości“ Mickiewicza. Asnyk odzywa się w niej jak romantyk - idealista, ale pogodzony z rzeczywistością. Asnyk fanatykiem w przekonaniach nigdy nie był. Szanował i uznawał romantyzm, ale ze względu na położenie społeczeństwa polskiego i jego dole i niedole był za pozytywizmem, który chłodną strugą oblał rozżarzone umysły po upadku powstania 1863 roku.

Poezja Asnyka zyskać może dzisiaj odświeżone uznanie za swe programowe poezje społeczne. Dość zacytować te jego słowa:

„Szukajcie prawdy jasnego promienia,  
Szukajcie nowych, nieodkrytych dróg...“

Asnyk naprawdę umiłowanym i uwielbianym będzie przez tych, co doszukują się, a raczej potrafią się doszukać w jego utworach piękna i głębokiej treści. Poezja bowiem — jak pisze K. Czachowski — biorąc określenie z tytułu jednego z wierszy Asnyka, to „Zaczarowana królewna“, którą każdy dla siebie zdobywać musi, jeśli chce. Ale raz zdobyta, raz osiągnięta, przyniesie trwałą radość w postaci psychicznego zadowolenia.

St. Majchrzak.

## KĄCIK HARCERSKI

Red. — Tadeusz Nabzdyk.

# Na jubileusz 25-lecia

## Druhowi Komendantowi!

...Ludzie mądrzy, ludzie głęboko myślący, w poszukiwaniu dla siebie odpowiedniego pola pracy, znajdą takie, na którym są potrzebne wysiłki dzielnego umysłu i mocnych rąk. To też nasz Jubilat, Druh Komendant, „Siwy Sokół“, kierowany własnym doświadczeniem, znalazł niezwykle cenną drogę swej pracy: kroki swoje skierował w szeregi Harcerstwa i jemu poświęcił wiele sił. W tych szeregach owocną służbę odbywa chlubnie ćwierć wieku.

Nie ma w działalności naszego Komendanta szumnej, błyskotliwej reklamy, jest jedynie stała praca, Praca i PRACA dla dobra chłopców - harcerzy, w których kręgu się znajduje, a nagrodą za tę pracę jest miłość dusz i serc harcerskich, gorąco kochających swego Dowódcę na placu boju o powszechne panowanie Boga, o potęgę Ojczyzny, o dobro polskiej młodzieży.

W umysłach i sercach wszystkich druhów jest zawsze z szacunkiem przechowywana, żywa, ruchliwa, skromna postać Harcerza w kapłańskiej sutannie, siwowłosego „Siwego Sokoła“.

Sokół, lecąc w przestworza, wysoko sięga i wzrokiem swym ogarnia najdalsze widnokregi. Nasz „Sokół“ w swych wysokich wzlotach, porywał ze sobą druhów i z nimi dochodził do punktów, dla wielu ludzi niedostrzegalnych. A loty swoje odbywa już — dwadzieścia pięć lat.

Widzimy Druha Komendanta wszędzie, na każdym miejscu harcerskiej działalności: na wycieczce, w obozie, przy ognisku...

Druhowie przez dwadzieścia pięć lat widzieli w Nim Współtowarzysza, Wychowawcę i „Starszego Brata“, znajdowali w Nim oparcie w pracy. Zawsze pogodna, miła Osoba Komendanta, służyła radą każdemu, kto się po nią zwracał i prowadziła bezpiecznymi drogami.

I tak stale, przez 25 lat Druh Komendant trwał na posterunku — przez 25 lat nieznużenie i usilnie dla Harcerstwa pracował — przez 25 lat był darzony bezgranicznym zaufaniem i miłością chłopców.

Pragniemy gorąco wszyscy i życzymy Mu, aby Bóg obdarzył Go niespożyтым zasobom sił do dalszej, owocnej pracy w Harcerstwie, tej kuźni dzielnych, szlachetnych i męskich charakterów.

REDAKTOR KĄCIKA.

## Obóz Francuzów przez polskie okulary

Rozmowa między skautem francuskim a harcerzem polskim była zazwyczaj krótka.

- Parlez vous français?
- Nou.
- Do you speak English?
- No.
- Sprechen sie deutsch?
- Nein.

Francuz robił mocno niewyraźną minę, kiwał głową nad niekulturalnością Polaków, choć sam najczęściej nie znał tych języków, w których zadawał zlotowe pytanie: „Mówisz po...?”

W rezultacie witano go zdaniem, które każdy znał już na pamięć: „Gdzie jest Jurek?” (Jurek pozował na tłumacza). Nadchodził Jurek i dopiero wtedy wielojęzyczny Francuz wyrażał swoje życzenie, ale w języku ojczystym. Drugim sposobem porozumiewania się były migi. Nie szło to jednak w mig, bo nie każdy jest przecież tak domyślny; no i zachodziła obawa, że może Francuzi mają inne migi? Bo: co kraj to obyczaj. Pozostawał więc tylko Jurek. Biedny on, chociaż w obozie było więcej „francuzów” (tj. takich, którzy w szkole uczą się francuskiego).

Przyjęcia były dwa: oficjalne i nieoficjalne. Oficjalne odbyło się (z przemówieniem — naturalnie) zaraz po ich przyjeździe przez dwie nasze drużyny; nieoficjalne miało miejsce w czasie oficjalnego ogniska powitalnego; urządzili je polscy górale, zakradając się do ich obozu. Sytuacja była nawet „groźna”: gwizdkiem alarmowym przerwano ognisko. Ze wzruszeniem przypominam sobie ogólne rozgorączkowanie i słowa jednego z zastępowych do swoich chłopców: „Ja idę tam (do obozu Francuzów!) a wy — gdyby coś zaszło bróńcie się do upadłego!” Efekt byłby jeszcze większy, gdyby przy tych słowach pasek z czapki przepiął sobie pod brodę.

Najmniej przejęli się tym sami Francuzi, bo już na drugi dzień słyszało się żarty na ten temat. Zresztą mogli mieć humor, bo od tego dnia straż graniczna i miejscowy sołtys obóz ich o-toczył szczególniejszą opieką (czyt.: wartą).

Biwakowali sobie odtąd spokojnie, przez 10 dni. Rano chodzili codziennie na mszę św. (mieli 2 kapelanów — bez kapelana nie wolno we Francji wyjeżdżać na obóz), modlitwę śpiewali przed i po jedzeniu, jedli dobrze, dużo i oryginalnie (bliżej w to nie wchodziłem), męczyli się łatwo w marszu, śmiali się przy ogniskach i nie przy ogniskach, podziwiali Pieniny, cieszyli się z polskiego nieba i pogody, z trudem śpiewali: „Szła dziewczeczka do laseczka” a jeszcze zabawniej to wymawiali. Do końca ulepшали swój obóz — rozsiane na niewielkiej polanie

dwuosobowe namioty — i zanim skończyli się urządzać należało już zwijać.

Słowem, najczęściej słyszczanym w ostatnich dniach było: „change“. Wymieniano wszystko: oznaki, krzyże, chusty, krawaty, sprawności, znaczki (gdyby to były harcerki to i fotografie). Francuzi okazali się w tym wypadku więcej podobni do Żydów; nigdy nie dali się „nabrać“ co do wartości rzeczy wymienianych.

Pożegnanie było uroczyste. Odprowadziliśmy ich aż do Czor-sztyna, gdzie czekał na nich autobus. Po pożegnalnych okrzykach jak „Czuwaj“, „Vive la France!“, „Scout taujours!“ (które przed tem były powitalnymi), po odśpiewaniu hymnów narodowych — ostatni uśmiech brody Barbu (Chef Lemarpurier), warkot motoru i zasnęły ich kłęby kurzu.

---

I teraz, drodzy przyjaciele, zasłaniają Was kłęby odległości.

Tadeusz Rajski.

---

## Z Junackick Hufców Pracy— „Jednodniówka“

Po raz pierwszy w tym roku maturzyści mieli możliwość, a jednocześnie zaszczyt części swych sił fizycznych poświęcić dla dobra Państwa. 4-tygodniowy pobyt, kilkogodzinna praca z łopata i przy taczkach, kuchnia i rygor wojskowy — nie każdemu „z cenzusem“ się uśmiechały. To też wielu wyjeżdżało raczej z obowiązku, o ile nie z przymusu.

A jak, w jakim nastroju wracali?

O tym właśnie dokładnie opowiada, to nam bliżej przedstawia „Jednodniówka“, wydana przez junaków z cenzusem (maturzystów), a zaprojektowana przez „ostrowiaka“ jun. Zybale Stanisława, którego dobrze znamy z „Promienia“, a który ją też zredagował. Leży właśnie przede mną jeden egzemplarz, w skromnej, zielonej oprawie, z datą: Góry, 15 września 1938 r. Mam o niej coś napisać...

Ponieważ jest to „Jednodniówka“, więc ma charakter bardzo jednolity. Z każdej strony tchnie młodzieńczy humor, swoboda, zadowolenie, a przede wszystkim umiłowanie pracy. Nie ma narzekań, choć niejeden napewno krzywił się, gdy prostował schylony kilkogodzinną pracą krzyż, nie ma łez—choć niejeden z trudem przeżył przysmak - grochówkę, — jest tylko podzięką położonym za ojcowską opiekę, za nauczanie rozumienia pracy, są miłe wspomnienia „łopaciane“ z kolegą „bez cenzusu“.

„Jednodniówkę“ zaczynają dwa wiersze p. Zybale: jeden dla ukochanego przez nich Rydza - Śmigłego, drugi dla Głównego Komendanta J.H.P. Dalej Komendant 2 Batalionu mjr

Geronis Józef, w przedmowie rozwija hasło Marszałka: „Mamy podnieść Polskę w wyż”. Po historii 2 Batalionu, który początek swój wywodzi z Ochoty na Śląsku, znowu wiersz pp.: Zybąły i Zająca: „Drugi Batalion”. O tym, jak do junackiej pracy swych synków ustosunkowały się matki, pisze p. Eliza Kur-natowska. Sądzę, że taka postawa jest godna każdej Matki-Polki. „Paradoks pracy” — jest prawdziwym obrazem duszy cenzusowca podczas pracy. Z dalszych artykułów dowiadujemy się o programie dnia: g. 5-ta pobudka, śniadanie, potem praca, po południu: pogadanki, dyskusje, siatkówka, świetlica. Stosunki między „z” i „bez cenzusu” były nie tylko poprawne, ale wręcz przyjazne. Ładnie przedstawił nam to p. St. Błasz-czyk („Dobrze nam było z Wami”), wymowne są przemówie-nia powitalne i pożegnalne junaków bezcenzusowców. Trochę odrębny charakter ma „List Junaka do Ukochanej...” p. Zyb-ąły. Ciekawe są dobrze dobrane fotografie.

Forma poszczególnych utworów prosta, niewyszukana. — Każdy pisał to, na co go stało pośród 4-tygodniowego pobytu w obozie. Ta szczerść, bezpośredniość sprawiła chyba to, że „Jednodniówkę”, mimo pewnych usterek, czyta się z przyjemno-ścią i zostawia miłe wrażenie.

Tadeusz Rajski.

---

## Z nad polskiego morza...

Podczas tegorocznych wakacyj postanowiłem wyjechać nad morze. Odjazd z Ostrowa nastąpił w niedzielę 4 lipca o godz. 23.30. Towarzyszem mojej podróży jest kolego Cz. L. Tym samym pociągiem jadą na obóz do Karwińskich Błót harcerki z Gimnazjum. W Jarocinie wsiadają harcerze z Witaszyc jadąc na obóz do Wielkiej Wsi Hallerowa.

Pociąg mknie szybko naprzód. Mijamy gród Przemysława—Poznań, otulony w setki światła elektrycznych; Gniezno, gdzie spoczywają zwłoki św. Wojciecha w prastarej świątyni; Ino-wrocław, znany ze swoich solanek; Bydgoszcz i Tczew, ostatnią stację na obszarze Polski. Teraz znajdujemy się na terenie Wolnego Miasta Gdańska. Pociąg nie zatrzymuje się. Z okna wagonu widać błyszczącą taflę morza i pływające po niej, małe łupinki, okręty. — „Ten Gdańsk, to ładne miasto. Mają Niemcy na co szczerzyć zęby” — mówi współpasażer Ślązak. „Ze też Polacy Gdańszczanie pozwolili na to. Mybyśmy sobie tak nie dali”. Ma rację — myślę sobie — mając w pamięci trzy powstania Śląz-ków. Pociąg zatrzymuje się w Gdyni. (Tu odczepiają wagon z ostrowskimi harcerkami). My jedziemy dalej, na Hel. Tuż za Gdynią śpiewają harcerze z Witaszyc: „Chociaż każdy z nas jest

młody“, potem „Morowa marynarska wiara“ i „W ten świat, płynie okręt...“

W Helu wysiadamy. Ponieważ nie mamy przepustek, (nie-wiedzieliśmy o nich) nie możemy opuścić dworca. Rozczarowani wracamy do Wielkiej Wsi Hallerowa. Tu zwiedzamy nowy port polski nad Bałtykiem: Władysławowo. Potem wyruszamy pieszo w stronę Karwi. Po lśniącej autostradzie mkną samochody i motocykle. Po kilkudziesięciu minutowym marszu wkraczamy do Rozewia. Zwiedzamy latarnię morską im. Stefana Żeromskiego. W dolnej części latarni znajduje się pokój St. Żeromskiego. Na środku pokoju stoi biurko, na którym leży (za szybą) wyjątek z „Wiatru od morza“ (rękopis). Tu pisał autor powyższy utwór. Przy ścianie stoi łóżko. W bocznym pokoiku stoi szafa i komoda. Z pokoju wychodzą dwa okna z widokiem na morze. Idziemy piętro wyżej, gdzie znajduje się nadawcza stacja radiowa, dająca sygnały dźwiękowe. Na szczycie znajduje się urządzenie świetlne latarni. Wynalazku latarni dokonał inżynier francuski. (Nazwisko przewodnik zapomniał, gdyż jak mówił, trudne do wymówienia). Zarówka jej ma 4 000 świec napięcia. Specjalne szkło powiększa napięcie do 9 000 000 świec. Zasięg widzialności światła latarni wynosi 90 km. Latarnia rzuca błyski co 3 — 5 sek. Prądu o wysokim napięciu dostarcza elektrownia w Gródku. Prąd ten transformuje się transformatorami, znajdującymi się przy bulwarze w Rozewiu, na niższe napięcie, przez co zwiększa się natężenie. Widok z latarni wspaniały. Widać sunące po morzu punkty - okręty, widać bezkresną dal. Błękit nieba zlewa się z błękitem morza, tak, że nie można poznać gdzie. Na latarni morskiej znajduje się następujący napis:

„Ku czci niezapomnianego piewcy Bałtyku, który w mrokach narodowej nocy wskazywał drogi do Niepodległości, a w wolnej Polsce budził miłość do morza — źródła wielkości i potęgi Państwa, na wieczną rzeczy pamiątkę, latarnię tę na wniosek Ligi Morskiej i Kolonialnej decyzją Rządu Rzeczypospolitej w dniu Święta Morza 29 czerwca 1933 r. nazwano latarnią Stefana Żeromskiego“.

Za latarnią morską stoi pomnik. „Objęcia morza przez wojska polskie dnia 10. II. 1920 r.“ Sto metrów dalej na zachód sto stara latarnia morska, zamknięta w roku 1910. Po krótkim odpoczynku idziemy do Karwi. Autostrada wiję się serpentyną, raz zbliżając się do morza, raz oddalając się od niego, raz wznosząc się, to znowu zniżając się tak, jak gdyby kończyła się w morzu. Mnóstwo tu jarów, doskonałych miejsc do kąpieli, pełno letnisk. Mijamy: „Kamienny brzeg“, później „Lisi jar“. W tym jarze lądował Zygmunt III Waza wracając ze Szwecji do Polski. Ku upamiętnieniu tej chwili postawiono tu pomnik. Dalej przechodzimy przez „Niebieskie wybrzeże“ i „Kamienną górę“. Do

Karwi mamy jeszcze 7 klm. Rozmową i śpiewem „skracamy“ sobie drogę.

Nareszcie dobijamy do Karwi. Pełno tu letników. Najpierw odpoczywamy i posilamy się, potem zażywamy kąpeli morskiej i plaży. Tafla Bałtyku jest pomarszczona. Grzywy fal uderzają z szumem i łoskotem o brzeg, rozbijają się, wracają, by po chwili uderzyć znowu. Szum ten dziwnie brzmi nam w uszach. Piasek na brzegu jest biały i zbity. Ma słony smak. Kąpiel jest orzeźwiająca.

Karwia to ostatnia polska miejscowość nad Bałtykiem. Za nią biegnie granica oddzielająca Polskę od Niemiec. Rozmawiamy z Kaszubami o morzu, o Gdyni, o połowach. Opowiadamy im o naszej krainie.

Wieczorem wracamy autobusem do Wielkiej Wsi - Halle-rowa, skąd znowu wracamy koleją do Gdyni. Po drodze mijamy Swarzewo, gdzie znajduje się kościół z cudami słynącą figurą Matki Boskiej, Opiekunki rybaków. W Pucku widzimy koszary lotnicze i hangary Marynarki Wojennej. (W Pucku znajduje się baza wodnopłatowców). W Gdyni jesteśmy późną porą. Na nocleg idziemy do „Domu K. P. W.“ przy ul. Jana z Kolna. Od rana dnia następnego zwiedzamy port. Zaczynamy od strefy wolnocłowej (Basen min. Kwiatkowskiego), a kończymy na basenie Prezydenta. Zwiedzamy szczegółowo, (jak się to mówi: „od deski do deski“) interesując się wszystkim. (Gdyni nie będę opisywał, bo każdy zna dobrze miasto drogie każdemu Polakowi). Uwagę naszą zwraca wszędzie ruch panujący w porcie. Praca wre tu w istic amerykańskim tempie. Dźwigi ładują lub wyładowują towary. Magazyny portowe opróżniają się lub zapełniają po brzegi. Co pewien czas rozdziera powietrze ryk syreny wjeżdżającego lub wyjeżdżającego statku. Na wodzie roi się od mew. Słyszcy się często obcą mowę. Widzimy kilku „żółtych“, pracujących w porcie.

Trzeci dzień pobytu w Gdyni poświęcamy zwiedzaniu Oksywia. Wchodzimy na kępę Oksywską. Przed nami rozpościera się port drzewny „Paged“. W dali Gdynia — miasto; na lewo port. Wpatrujemy się chciwym wzrokiem w port, chcąc uchwycić wszystko, wszystko zobaczyć na własne oczy.

Po uzyskaniu przepustek kierujemy się w stronę O. R. P. „Wicher“. Za wstawieniem się Ostrowiaków z „Wichra“ uzyskujemy pozwolenie zwiedzenia kontrtorpedowca. Oglądamy to „cacko“ długo, uważnie, interesując się wyposażeniem (przede wszystkim). Od stojącego na samotności „Wichra“ kierujemy się do „Gromu“ i „Błyskawicy“ (kontrtorpedowce). Patrzymy, gdzie znajduje się „Gryf“ (stawiacz min), lecz go nie widzimy. Pytamy. Odpowiedź: „Wyszedł na wodę wraz z „Podhalaninem“, „Mazurem“ (torpedowce), „Czajką“ i „Rybitwą“ (traulery). Kierujemy się w stronę „Burzy“ (kontrtorpedowiec). Jest podo-

bny do „Wichru“. Blisko „Burzy“ stoją dwie kanonierki „Komendant Piłsudski“ i „Generał Haller“. Patrzymy na okręt - szkołę „Bałtyk“. Idziemy obok „Nurka (służącego do szkolenia nurków) i dwóch traulerów. Nieco dalej leży spokojnie na wodzie dywizjon łodzi podwodnych, składający się z trzech jednostek „Żbika“, „Rysia“ i „Wilka“. Stocznia Marynarki Wojennej buduje dwa traulery. Powstają one z pracy polskich rąk, z krajowego materiału. W warsztatach buduje się serię motorówek. Obok torpedowca „Ślązak“ stoi przytrzymany przez O. R. P. „Wicher“ przemytniczy statek „Nemo Kotor“. Wracamy z portu wojennego, oglądając się co chwilę w tył, by jeszcze raz obrzucić okiem sylwetki stalowych mocarzy, stojących na straży polskiego wybrzeża. Z Oksywia wracamy do Gdyni statkiem „Syrena“, zawijającym do basenu Prezydenta.

Wieczorem o 9,15 żegnamy Gdynię, 5-ty port Europy, by przez Warszawę, Łódź powrócić „kurierkiem“ do Ostrowa.

Marian Dolata, lic. mat.-fiz.

---

## Przed skonem

Na twarz mi złote słońce świeci...  
Słoneczny pył na twarz mą pada...  
...Polną gdzieś dróżką idą dzieci...  
W powietrzu czystym, jak kryształ, y,  
Dzwon jęczy stary, od stuleci,  
Zbudzona dźwięków mknie kaskada,  
I w duszach chłopiąt żar roznieci,  
Ze klęka razem dziatwa blada...  
...W złotą dal płynie pacierz małych...

Idę polami, po ścierniskach,  
Po osmutniałych zngała polach  
Jeszcze słoneczny promień błyska —  
I jeszcze jasne są błękity...  
Złotem się mienią puste rżyska,  
I czarna już się ciągnie rola...  
A jednak serca żal nie ściska,  
Jesienny przed-skon tak nie boli,  
I w sercu gorzą jasne świty...

Tyle jest jeszcze w sobie mocy,  
Słonecznej, bujnej mocy tyle...  
Nadzieja w sercach wciąż migoce,  
Jak ptak skrzydłami serce targa:



Ze jak sen miną czarne noce,  
Ze szczęście nasze nie motyle,  
Ze wiosna w duszach załomoce,  
Za dzień, za noc, za chwilę...  
...Cicho odleci zimy skarga...

Tyle się jeszcze jaśni wiary,  
W potęgę życia niezmorzoną,  
I tysiąc-barwne jej sztandary,  
Na polach walki widne wszędzie,  
W uśmiech słoneczny, dawny, stary,  
W ogniska uczuć, które płoną —  
W tajemne z sobą borów gwary, —  
A w okół jeszcze jest zielono,  
Ze człowiek wierzy: „Jakoś będzie!”

O, ukochane, złote słońce,  
Na zachodowym konasz szańcu,  
Całe w rubinach, gorejące...  
O, pieśnią zbóż szumiące pola —  
W dal rozpostarte hen, bez końca,  
O, spracowana w dni różańcu  
Ziemio! wciąż życie wkrąg rodząca,  
Ubrana w kłosa żniwnych wieńców...  
Bujna, słoneczna twoja dola!...

...A jednak codzien jest inaczej...  
...Metamorfoza dziwna jakaś...  
I żalu struna cicho płacze  
Na złotym jeszcze, zżętym łąnie...  
...Noc czarna jęczy, huczy, kraka...  
...Myśli się staną znów prostacze —  
I będzie trzeba znowu płakać...  
Może uczucie pozostanie...  
Minionych rzeczy — ukochanie...

Ryszard Reising.

---

## Służba na szkunerze

Na czele statku stoi kapitan, który jest przełożonym całej załogi. On odpowiada za statek, za bezpieczeństwo pracy na nim, ale tylko przed przełożonymi.

Do pomocy ma starszego oficera. Starszy oficer jest więc zastępcą kapitana i bezpośrednim przełożonym całej załogi oprócz kapitana.

Pomocnikiem kapitana jest także oficer nawigacyjny, lecz tylko w zakresie nawigacji. Oficer nawigacyjny jest odpowie-

działalny za bezpieczną i pewną nawigację statku, oraz za prawidłowość obserwacji i obliczeń. Do niego także należy dział sygnałowy statku. Jak widzimy oficer nawigacyjny ma dużo pracy, więc ma także pomocnika t. j. żeglarza sygnalistę.

Ważne stanowisko na statku zajmuje bosman. Bosman jest gospodarzem działu pokładowego i odpowiada za dobry stan kotwic, szalup, lin, łańcuchów i t. p. Do niego należy także utrzymanie czystości zewnętrznego wyglądu statku. Do pomocy ma młodszego bosmana.

Tak wygląda komenda statku oraz bosmani. Załoga zasadniczo dzieli się na trzy części. (Może być podzielona na dwie lub cztery, zależy od ilości). Taka część nazywa się wachtą, na czele której stoi starszy żeglarz. Starszy żeglarz podlega bezpośrednio oficerowi wachtowemu.

Z każdej wachty wyznaczają oficerowie wachtowi żeglarzy marsowych, którzy obsługują bryfoki i topsle. Właściwie żeglarzami marsowymi są najlepsi żeglarze danej wachty.

W czasie pracy wachty, gdy statek płynie wciąż jednym kursem to pracują tylko: sternik, wachtowy, obserwator, żeglarz wachtowy i oko, a reszta czeka na rozkazy. Tym wolno siedzieć, leżeć i chodzić, poprostu robić to co innym, lecz nie wolno im schodzić do kajuty.

Gdy potrzeba zmienić kurs muszą oni t. j. reszta wachty służbowej, stanąć na stanowiskach manewrowych i wykonać dany rozkaz.

W czasie sztormu pracuje cała załoga, z powodu bardzo ciężkiej pracy.

O żywność dla załogi stara się kucharz z gospodarzem. Gospodarz robi zakupy zapasów żywności i dba o zapas wody. Do jego obowiązków należy czuwanie nad porządkiem w spiżarni i nad czystością naczyń kuchennych i zastawą stołową. Kucharz natomiast przygotowuje posiłki i myje naczynia kuchenne i zastawę stołową. Do pomocy ma „Koka“ czyli młodszego kucharza.

Prawie na każdym szkunerze jest motor, który jest obsługiwany przez mechanika. Ten jest odpowiedzialnym za sprawność motoru. Musi go utrzymywać w należytej czystości. Mechanik naprawia wszystkie mechanizmy na statku i urządzenia świetlne. Do pomocy ma młodszego mechanika.

Czasem na szkunerze jest radiostacja, którą obsługują radiotechnicy. Tych jest dwóch i pełnią kolejno swoją służbę.

Tak mniej więcej zorganizowana jest służba na szkunerach. Podobnie jest na innych statkach żaglowych, lecz zachodzą tam pewne zmiany.

Jańczak Jan.